NA NIEDZIELĘ

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego." Wychodzi co tydzień.

Nr. 19. | Bydgoszcz, niedziela 9 maja 1909. | Rok II.

Na niedzielę czwartą po Wielkiejnocy.

Lekcya.

Jak. I. 17—21.

Najmilsi! wszelki datek dobry i wszelki dar doskonały, z wysoka jest, zstępujący od Ojca światłości, u którego niemasz odmiany, ani zaćmienia przemiany. Dobrowolnie bowiem porodził nas słowem prawdy, żebyśmy byli niejakim początkiem stworzenia jego. Wiecie Bracia moi najmilsi. A niech wszelki człowiek będzie prędki ku słuchaniu, a leniwy ku mówieniu, i leniwy ku gniewowi. Bo gniew męża nie sprawuje sprawiedliwości Bożej. Przeto odrzuciwszy wszelakie plugastwo i obfitość złości, przyjmijcie w cichości słowo wszczepione, które może zbawić dusze wasze.

Ewangelia.

Jan XVI. 5—14.

Onego czasu rzekł Pan Jezus Uczniom swoim: Idę do tego, który mię posłał; a żaden z was nie pyta mię; dokąd idziesz? Ale iżem to wam powiedział, smutek napełnił serca wasze. Alećja prawdę wam powiadam: pożyteczno wam, abym ja odszedł. Bo jeśli nie odejdę, Pocieszyciel nie przyjdzie do was; a jeśli odejdę, poślę go do was. A on gdy przyjdzie, będzie karał świat z grzechu, i z sprawiedliwości, i z sądu. Z grzechu, mówię, iż nie wierzą we mnie. A z sprawiedliwości, iż do Ojca idę, a już mię nie ujrzycie. A z sądu, iż książę tego świata już jest osądzony. Jeszcze wam wiele mam mówić, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy. Bo nie sam od siebie mówić będzie; ale cokolwiek usłyszy mówić będzie; i co przyjść ma, oznajmi wam. On mnie uwielbi, albowiem z mego weźmie, a wam opowie.

Nauka.

Prawdę wam powiadam, pożyteczno wam, abym ja odszedł.

Pociesza P. Jezus uczniów swoich zasmuconych zapowiedzią odejścia Jego, nie jak to ludzie nieraz czynią, jakimś wykrętem albo kłamstwem, ale mówiąc im szczerą prawdę i wskazując na pożytki, jakie na nich z odejścia Jego przyjść miały. Nieznośni Bogu, a ludziom szkodliwi są oni rzekomi pocieszyciele, co dla pocieszenia zasmuconego wmawiają w niego różne rzeczy, w które oni sami nie wierzą, a jednak bardzo często to się zdarza. Niech dziecko z czegobądź się rozkwili, to niańka, a nieraz i rodzona matka dla uspokojenia go niestworzone rzeczy mu obiecuje, albo niemi straszy; niezadowolnionych z swego losu i położenia, niby dla pocieszenia ich, ludzie, nie wiedzieć skąd się biorący, oszukują różnemi obietnicami, które nigdy się nie ziszczą i ziścić nie mogą, i narażają ich tylko na nowe i cięższe jeszcze od dawnych zawody i smutki. Zły to sposób pocieszania i nigdy na dobre nie wychodzi. Ale prawdziwem już okrucieństwem staje się taki kłamliwy sposób pocieszania, kiedy chodzi o umierającego, w którego nieraz najbliżsi krewni i najserdeczniejsi przyjaciele wmawiają, że jeszcze nie umrze, i dla oszczędzenia mu, jak oni mówią, przykrego i przerażającego wrażenia, ociągają się z przywołaniem księdza, któryby go pojednał z P. Bogiem i dał mu pociechę jedynie prawdziwą i w onej chwili koniecznie potrzebną. W ostatniej dopiero chwili, kiedy dusza na ramieniu i konający już traci mowę, a często i przytomność, wtenczas dopiero posyłają po księdza, ale chyba nie dla jego pociechy, ale dla marnego względu ludzkiego i żeby samych siebie tylko zasłonić od wyrzutów, że dopuścili nieboszczykowi zejść z tego świata bez śś. Sakramentów. Okrucieństwem to jest względem umierającego tem większem, że chodzi o wieczne zbawienie, o wieczność całą! którą niejeden traci dlatego, że w godzinę śmierci nie pozwolono mu się spowiadać uczciwie, ani korzystać z tej pomocy, jaką z łaski Bożej dają ostatnie śś. Sakramenta i modlitwy kapłańskie. Biada i stokroć ciężkie biada tym takim fałszywym przyjacielom i zwodniczym pocieszycielom, bo ciężka czeka ich odpowiedzialność na sądzie Bożym! A grzeszą tem rzadko ludzie prości, co się na czczych ceremoniach nie znają, więc i z śmiercią nie robią ceremonii, lecz biorą rzeczy po prostu, i tem samem też po Bożemu. To grzech więcej właściwy tym, co chełpią się swojem wyższem wykształceniem, a — mimo tego swego wykształcenia — nie chcą jakoś rozumieć, że jeżeli chodzi rzeczywiście o oszczędzenie choremu wrażenia, to należałoby nie

dopuszczać do niego nie tylko księdza, ale też nie więcej niż jednego zwyczajnego lekarza, ani też nie sprowadzać z daleka krewnych; bo przecież i konsylia lekarskie i zbieranie się rodziny z dalekich nieraz stron koniecznie budzą w chorym świadomość, że stan jego jest groźny. Niema żadnej potrzeby mówić choremu, że umrze na pewno, bo i najbieglejsi lekarze czasem mylą się, zapowiadając komu blizką i niechybną śmierć; Bóg jeden jest panem życia i śmierci. Więc jeżeli nie jesteś prorokiem, to nawet nie masz prawa mówić choremu, że umrze już teraz, zwłaszcza że ostatnie Olejem św. namaszczenie często w cudowny prawie sposób służy i zdrowiu ciała; mów choremu prawdę, że stan jego jest groźny, że więc należy się zabezpieczyć na każdy wypadek. Jeżeli zaś sam nie śmiesz, to poproś kogo, coby tę tak ważną i świętą przysługę choremu oddał, a wyświadczycie mu tem przysługę, za którą wam będzie wdzięczny przez wieczność całą.

Zabłąkana w Katakumbach.

Dokończenie.

Wtem spostrzegłam coś świecącego w małym okrągłym otworze nad grobowcem. Machinalnie sięgnęłam ręką i wyjęłam szklanną flaszeczkę z czerwonym na dnie osadem. To krew męczennika, zebrana starannie przez braci w Chrystusie i przechowana w wydrążeniu skalnem, jako droga pamiątka. Czyżby to była nauka i przestroga dla mnie, że nie powinnam szemrać przeciw wyrokom Opatrzności? Pobożnie przycisnęłam do ust cenną relkwię. O błogosławiony Duchu, wyprowadź mię z otchłani, lub dodaj sił do zniesienia katuszy!

Kaganek się dopalał, zabłysł przez chwilę żywiej, zadrżał, jak człowiek, który ostatnie wydaje tchnienie, i zagasł. Otoczyła mię ciemność, niż kir pogrzebowy. Teraz będę szła po omacku, trzymając się ściany; może w mroku natrafię na śliskie ciało gadu? może spadnę w jaką czeluść i roztrzaskam sobie głowę o skałę? To byłoby może szczęście dla mnie, przynajmniej od razu nastąpiłby koniec cierpień.

Było mi tak duszno, jak gdyby piramida Cestyusza, albo grobowiec Cecylii Metelli przygniatał mi piersi. Trzeba iść dalej; wszystko jest lepsze niż bezczynność.

Postąpiłam kilkanaście kroków wzdłuż krętego korytarza i naraz ujrzałam blady promiczek światła padający na ścianę. Krzyknęłam z radości i rzuciłam się naprzód: tam musiało być wyjście, a więc ratunek!

Krótko trwała moja radość tem sroższy czekał mię zawód. W okrągłej, dość obszernej, pieczarze żadnych drzwi nie było, tylko przez otwór wykuty w sklepieniu, wpadał promień słońca. Musiał się przedzierać przez zieloną gęstwinę krzewin, gdyż w złocistym jego świetle był jakby odbłysk szmaragdów. Lekki wietrzyk zapewne poruszał zaroślami, promik bowiem drżał, migotał i rozsypywał w koło tęczowe iskry.

Na ten widok boleść i tęsknota rozdarły mi serce. Ach! tam na ziemi jest wiosna, słońce, zieloność, szerokie przestrzenie, cudne krajobrazy, a mnie zewsząd otacza zimna skała, która stanie się moim grobem. Na myśl rodzinie, ojczyźnie, przyjaciołach, zalewałam się gorzkiemi łzami. Oni nawet szukać mię nie będą, bo z takim samym skutkiem możnaby poszukiwać kamienia, ciśniętego w morze. Zginęła w katakumbach — na tem przeć muszą.

Może kiedyś kto dostanie się do tej pieczary, znajdzie szkielet i domyśli się tragedyi, rozegranej pod ziemią. Pewno nie jestem pierwszą i nie ostatnią osobą, zabłąkaną w tych podziemiach. Może już niejeden śmiałek przypłacił śmiercią chęć zbadania największego cmentarzyska na świecie.

W każdym razie nie ruszę się stąd. Ten promień słońca będzie mi jedyną pociechą, jedynym towarzyszem, a skoro on zagaśnie, przez otwór wybity w skale wpłynie smętna jasność księżyca i będzie mi mówiła o niebie i ziemi. Wolę umrzeć przy świetle, niż tam w tych okropnych ciemnościach.

Długo płakałam, lecz w końcu łez zabrakło, uklękłam więc na chłodnych kamieniach i wpatrywałam się w złoty promień słońca. Zdawało mi się nawet, że coraz większa jasność napełniała pieczarę...

Wtem obił się o moje uszy jakiś dźwięk, łagodny i uroczysty — głos dzwonów... Jedne słychać wyraźnie, więc z poblizkiego dochodzą kościoła, inne, więcej stłumione, w dalszych świątyniach wzywają wiereych na nieszpory. Razem stanowią jakby chór nieziemski, podniosłą harmonią napełniający pieczarę. Płyną zgodnie, poważnie, ponad starą i nową Romą, ponad płowemi falami Tybru, ponad bezludnym stepem kampanii, ponad szeregiem rozwalonych grobowców i arkadami wodociągów. Wsłuchywałam się w nie, z rozrzewnieniem, gdyż były to może ostatnie dźwięki, dochodzące mię z ziemi, moje dzwony pogrzebowe...

Jasny promień wydłuża się, blednie, drga, jak płomyk dogorywającej świecy. Widać słońce zniża się ku zachodowi, musi być piąta.

Znużona, spłakana, oparłam rozpalone czoło o chłodny kamień i osłupiałym wzrokiem patrzyłam na niknącą jasność dzienną. Od czasu do czasu dreszcz wstrząsał mojem ciałem.

Co to jest? Na korytarzu słychać kroki, szmer zozmowy... Drgnęłam i zerwałam się, ale z początku nie dowierzałam sobie. A gdyby to było złudzenie rozgorączkowanej wyobraźni?

Nie!... W oddali migają światełka, na progu pieczary stają ludzie... Boże, dzięki Ci! Jestem ocalona! **Zofia Sokołowska.**

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Jan Szmańda w Bydgoszczy.